№ 8.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1842. Poznań, dnia 13. Kwietnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Kochanka hetmańska.

POWIEŚĆ

przez

Luciana Siemieńskiego.

(Ciąg dalszy.)

Już to było napisane w księdze przeznaczeń, że w ciągu nieobecności hetmańskiéj spotykać ją będą tak niespodziane wypadki, jak w bajkach, o królewiczach i czarnoksiężnikach. — Siedząc jednego poranku u okna, i patrząc na wypogodzone niebo, postrzegła jak wielki wóz wyładowany zatrzymał się przed jéj dworkiem.

»Panienko« — mówili ludzie od wozu, »przywozimy wam rozmaite sprzęty. Gdzie nam każecie ustawić?«

»Dla mnie sprzęty? — przeżegnajcie się! — to chyba pomyłka.«

»Co nie, to nie. Wyraźnie tutaj nam zawieść kazano.«

»Od kogoż?«

»Tego nam mówić nie wolno, dość że od pewnéj wysokiéj osoby.«

»Róbcież więc co się wam podoba.«

Ci ludzie, zaraz wzięli się do roboty: ściany obciągnęli bogatemi makatami, podłogę korbiercami usłali — postawili spaniałe łoże z kotarą — pownosili stoły i stołki obite złotogłowiem. Za każdym sprzętem Nastusia niemogła się wstrzymać od podziwienia — w końcu, niemogąc nic od tych ludzi wybadać, domyśliła się że to pan hetman taki dał przykaz któremu ze swoich powiernych dworzan.

Tegoż wieczora, tajemny goniec hetmański przyniósł jéj pismo tak długo oczekiwane, w treści następującéj:

»Sejm się już kończy — najdaléj za dwa tygo-»dnie będę u ciebie — przybycie moje na zamek »zapowiedziałem o parę dni późniéj, dla tego, by »z tobą ten czas przepędzić. Tęsknota co dzień go-»rzéj mi dojmuje; szczęśliwym będę gdy się dosta-»nę do twojéj chatki; kochanie, przemieniło ją »w najspanialsze dla mnie pałace.

»Twój, kochający cię — i t. d.«

Ostatnie wyrazy szczególniéj naprowadzały Nastusię na pomysł, że to hetman jéj chatkę w pałac zamienił.

Im bardziéj zbliżał się termin przyjazdu kochanka, tem Nastusia niespokojniéj wyglądała go oknem, tem częściéj wybiegała ku stronie zkąd miał nadjechać.

Właśnie przedzwoniono u Reformatów na Anioł-pański — ona zabierała się wybiedz na spotkanie, gdy drzwi się otwarły, i hetman w burce kozackiéj stanął przed lubą. Po zwykłych ucałowaniach, po wzajemném zapytaniu: czyś myślała o mnie? czyś myślał o mnie? gdy pierwsza gwałtowność uczuć cokowiek uciszyła się w duszach — hetman spojrzał po świetlicy i mocno się zdziwił.

»A to zkąd takie odmiany« — zawołał — »zkądżeś to wzięła te sprzęty, Nastusiu, te bogate opony?«

»Jako! nietyżeśto panie je przysłał, nie tyś moję chatkę w pałac zamienił?«

»Mnie to i przez myśl nieprzeszło, wierzaj Nastusiu.«

»Wolne żarty miłościwy panie.«

»Szczérze ci mówię, i niepojmuję.... Ale te ko-

bierce, te makaty gdzieś mi znajome — wszak to zamkowe sprzęty! sprzęty z sypialnéj komnaty mojéj żony — ba — i to łoże jéj własne!«

»O cudowna moja patronko! więc to miłościwa pani opatrzyła mię témi zbytkami, a ludzie oni nie chcieli powiedzieć kto ich przysyła.«

»Odkryciśmy moje dziecko! widzisz czego użyła, aby mi dać do poznania że nasze miłostki nie są jéj tajne. Jutro! o jutro zetrzemy się mościa pani.«

»Jednakże ja widziałam panią hetmanową, była tutaj. Jaka dobra! pocałowała mię w czoło, pochwaliła żem urodziwa, i że godnam być szczęśliwą. Sama życzliwość przebijała w każdem słowie, a zazdrości ni cieniu.«

»Hetmanowa tu była! żona moja obeszła się z tobą łagodnie?!«

»Więcéj jak łagodnie, bo jak matka, jak siostra, jeżeli śmiem przyrównać taką panią do siebie. — Oto pierścień który mi zostawiła na pamiątkę.«

Hetman pogrążył się w głębokie dumanie. Postępek jego małżonki wcale niezdał mu się nagannym; lecz trybem ludzi na których stronie bywa niesłuszność, usiłował wmówić w siebie, że źle postąpiła sobie; a zmuszony wybierać między wstydem a gniewem, poszedł za ostatniém uczuciem.

»A to zuchwałość mościa pani« — mówił do siebie, chodząc wielkiemi kroki po świetlicy — »tak ze mnie żarty stroić! Dam jéj do poznania że takich nauczek nie lubię. Patrzcie! zachciało się jéj szpiegować mężoskie postępki? płatny zausznik wdziérał się w moje tajemnice? — Pożałujesz tego, i będziesz przeklinać godzinę w któréj ci ta myśl przyszła. Ale dosyć już o tém — szkoda czasu i atłasu, szkoda mi każdéj minutki niespędzonéj z tobą mój ty aniołku.«

Przecież rozkochany hetman o niczem niekazał sobie rospowiadać przez resztę wieczora, jak o tych odwiedzinach swéj żony, o całéj rozmowie i o przysłanych sprzętach; tak bowiem dalece go ubodła wspaniała zemsta kobiety.

Z brzaskiem poranku, gdy musiał pożegnać swoją pieszczoszkę, i pospieszyć do dworskich których w jednym z bliskich folwarków zatrzymał, aby zatracić ślad bytności u Nastusi — uniesienie gniewu zaczęło w nim wolnieć. Wnosząc z wczorajszych jego zamachów, zdawało się, że z powrotem na zamek wybuchnie, że biedną małżonkę w proch zetrze, tak zapęd jego gniewu w innych razach bywał niehamowany, choć zresztą w gruncie serca miał uczucie najczystszéj sprawiedliwości. Dla tego też, w miarę jak się zbliżał z swoim orszakiem, szacunek ku małżonce brał górę, stygło oburzenie, czoło się zasępiało pomroką myśli, a koń pod nim coraz wolniéj kroczył, jakby chciał tę drogę przedłużyć, która mu teraz zbyt krótką się zdała. Nim wjechał na górę, raz jeszcze zatrzymał się przy kaplicy Ś. Jana, i usiłował zebrać rozpierzchnione myśli.

Tu mu się nasunęły trudności, o jakich jeszcze niemarzył. Nie przypuszczał on, aby hetmanowa chwyciła się jakiego ostatecznego środka. Znał jéj charakter słodki i uległy, znał sposób postępowania który nigdy niezbaczał z toru godności. Przytém, nigdy nieuchybiła mu w czułości i przywiązaniu; miałże pierwszy zaczepić ją w téj mierze, czy czekać aż ona zacznie? Oto był węzeł gordyjski. Już niewątpił, że wiedziała o wszystkiem i oczekiwać wypadku, było jedno, co stawić się w położeniu żaka oczekującego kary od swego mistrza. — Z drugiéj strony, jakże przystąpić do tak ślizkiego przedmiotu? kłótnią? — rzecz niegodna, nikczemna, tém bardziéj że przeczuwał iżby go pokonała swoją wyższością, iżby mu przebaczyła niewdzięczność. Nad tém zaś wszystkiém górowała ślepa miłość do Nastusi, od któréj niechciał na jotę odstąpić, i stokroć wolałby znosić całe piekło domowe, niż zaprzestać swych nocnych nawiedzin. Stawiąc się tak między namiętnościami, dumą, i prawością swego charakteru niewidział innego środka, jak ustąpić w którymkolwiek z tych punktów zawiłych. Dla tego chwycił się najzręczniejszéj drogi — to jest, postanowił niewywoływać żadnych tłumaczeń, dopóki ich druga strona niewywoła.

Stanąwszy na zamku, hetman prosto poszedł do swoich komnat, przebrał się z sukni podróżnych, i udał się powitać małżonkę.

Właśnie nieszczęśliwa Anna wychodziła z kaplicy gdy się spotkali w przysionku. Mimo wewnętrznych zgryzot, wyglądała na twarzy dość świeżo, zapewne z regularnego i cichego sposobu życia; radość z ujrzenia męża, uśmiech wdzięczny rozlany po licu, użyczyły jéj tego wdzięku, jaki zwykle nazywamy: pięknością duszy. Uderzyło to hetmana na wstępie; i oboje byli wzruszeni. Z początku chcieli się tylko uścisnąć za ręce; lecz ona podała mu swoje tak życzliwie że hetman otworzył ramiona, i wpół ująwszy do piersi przytulił. Kilka chwil trwało to serdeczne powitanie, i chociaż wybuch wzajemnych wyrzutów zdawał się być nieuchronnym, on niemiał przecież serca zatruwać téj chwili małżeńskiego pojednania; owszem, czule ją wypytywał o zdrowie, o dzieci, o wszystko co zaszło w jego niebytności. Kobiety bystry wzrok mają gdy idzie o wyśledzenie skrytości duszy; Anna wyczytała w przymuszonych ruchach hetmana, w pomięszaniu jego oczu, iżby mu trudno było zaczepić

o przedmiot tak drażliwy. Dla tego też niechcąc sobie zamącić krótkiéj roskoszy wynikającéj z téj, aczkolwiek podejrzanéj czułości małżonka, milczała i o Nastusi i o swoich odwiedzinach.

Cały dzień przeszedł, a hetmanowa najmniejszą wzmianką niedała poznać mężowi o tajemnicy jaka się między nich wcisnęła — hetman miał nadzieję że burza ta przesunie się i pójdzie w zapomnienie. Wyobrażał on sobie że cały jéj odwet skończy się na wspaniałem milczeniu, że mu da uczuć obrazę, bez wyrzutów, bez użaleń. A w ten czas ona się tylko podniesie, a on jakże nisko upadnie! Przyszłość malowało mu rosnącą winę z dniem każdym, sumienie szarpane coraz głębszemi zgryzotami, nakoniec widział się w takiem poniżeniu, żeby i ócz niemógł podnieść na niewinną matkę swych dziatek. Te myśli dręczyły go, zwiesił głowę na piersi, i czuł jak jéj spojrzenie słodkie, łagodne, paliło go w czoło. — Wielkie serce hetmańskie niemogło znieść dłużéj własnego upokorzenia. Bądź jak bądź, chciał raz zrobić rachunek z sumieniem.

»Widzę żeś mi płakała moje kochanie;« przerwał nagle z pewnym rodzajem wyrzutu.

»Ja zaś?« — odrzekła Anna blednąc. »I na cóż bym miała płakać — tyś przecie nie na wojnie mój drogi Zygmuncie — łzy moje chowam gdyś niebespieczeństwami otoczony.«

»Ciekawym czy też potrafisz skłamać choć raz w życiu. Mów, płakałaś czy nie?«

»Cóż ci to się dzieje Zygmuncie? przed chwilą byliśmy w zgodzie, a teraz szukasz roztérki?«

»Muszę się przekonać czy umiesz kłamać. Przyznaj się. Nieczas z tego robić tajemnicę; kiedyś mi tak zręcznie umiała wyrzucić lekkość moich postępków, milczenie byłoby wcale nie wporę.«

»Ach! mężu — Zygmuncie!« — zawołała Anna składając przed nim ręcę — jeżelim płakała, to nie z innéj przyczyny, jak żem się stała powodem twego nieukontentowania. Nietysiąc razy przysięgałam sobie, ukryć ci moje cierpienie, gdybyś kiedy stać się miał niewiernym — trudno! niemogłam zwyciężyć pokusy, i zamknąć w sercu tego ogromu boleści. Niemyśl żem uprzedzona o moich wdziękach — matce dwojga dzieci, kwiat młodości przeminął — a twoja Nastusia tak piękna, tak świeża, taka czarująca. Należało mi przetrzymać cierpliwie — namiętność twoją czasby zwolna ostudził, a prędzéj czy późniéj, jeżeli nie zgorącą miłością, tedy z przyjaźnią wróciłbyś do mnie. Nieprawdaż Zygmuncie, że w twoim sercu jest jeszcze dla mnie zakątek; że niepowinienam zazdrościć tego uczucia jakie chwilowo téj lub innéj rzucisz kobiecie? To dziewcze wcale miłe i zajmujące, Bóg świadkiem że jéj nic złego nieżyczę, a jeżeli mam prawdę wyznać, tedy nie dla wyrzutów tobie, upiękniłam jéj chatkę mojemi sprzętami, tylko bym ci namyśl przyszła każdą razą, gdy obok niéj będziesz chciał o mnie zapomnieć.«

(Dokończenie nastąpi.)

III. Biesiada Juhasów.

Wyjątek z powieści dotąd niedrukowanéj Seweryna Goszczyńskiego:

Straszny strzelec.

.... Przez czas mojego pobytu między Góralami obeznałem się z ich piszczałką, kobzą i tym podobnemi instrumentami używanemi przez nich; nadewszystko schwyciłem tak ducha rodziméj, goralskiéj muzyki, że mogłem grać im nietylko znajome pieśni i tańce, ale i nowe tworzyłem. Niekiedy także pożyczałem u innych okolic: bo miłując oddawna namiętnie muzykę ludu, starałem się poznać wszystkie jéj rozgałęzienia na ziemi Polskiéj i znałem je dobrze. Trzeba było widzieć jak ucho góralskie dziwiło się z razu wesołym śpiewom mazowieckim, skocznym kołomyjkom, posępnym dumkom ukraińskim; z czasem oswoiło się z niemi i rade im było. Jednakże, na dzisiejszy wieczor przygotowałem coś całkiem nowego — niespodziankę. Był to rodzaj poemaciku muzycznego. Myśl jego obejmowała wszystkie plemiona Polski, wszystkie koleje jéj losów, całe życie.

Wstęp malował Polskę przedchrześciańską, w życiu patryarchalném, na łonie przyrody cichéj, sielskiéj, śród szumu lasów, śpiewu ptaków. W téj części panował brzęk gęśli. Charakter jéj był prosty, spokojny, rzewny, coraz bliższy melancholii: oznaczał przyszłą Polskę w zawiązku. Naraz głucho zachuczały nieznane wiatry organów, jak uderzenie gwałtownego, przelotnego wichru — było to pierwsze objawienie się chrześciaństwa — umilkły, a natomiast gęśl odpowiedziała. — Tu na chwilę odzywały się na przemian to gęśl, to organ, niby walka Polski pogańskiéj z chrześciańską, ale akord organu coraz mocniejszy, uroczystszy, akord gęśli coraz słabszy, posępniejszy, aż nagle zajęczał boleśnym płaczem i umilkł zagłuszony trąbą wojenną — a w tym jęku, w téj pobudce wojennéj trąby był pierwszy płacz niemowlęcy Polski chrześciańskiéj, i zarazem jéj okrzyk wojenny, było znamię jéj posłannictwa, jéj przyszłości, całe jéj życie dalsze.

Z uciętego hałasu trąby, jak ze źródła, wypłynął strumień pieśni prostéj, poważnéj, religijnéj, powracającéj razy kilka, z odgłosem trąby po każdéj zwrotce — ta pieśń to Bogarodzica, to Polska walcząca w imie Chrześciaństwa. Dzwięki pieśni coraz mocniejsze, coraz pełniejsze; coraz nowy odgłos przybywa do chóru, coraz nowe uczucie wpływa do ogółu muzyki: to dzika kobza góralska, to ruska lira, to kozacki torban, to róg litewski -- polski duch rozszerza się. Wypełnia się duchami postronnych plemion. Po chwili ze zlewu wszystkich narzędzi podnosi się marsz uroczysty, tryumfalny — Polska na szczycie potęgi. -- Trąba uderza coraz mocniéj, coraz głośniéj, coraz niestrojniéj, zagłusza dzikim gwarem całą muzykę: znać że rycerska część narodu podnosi się nad cały naród. Wkrótce zaczyna się swar różnych dzwięków, nieład, dysharmonia. Wybuchają, jedne po drugich lira, kobza, róg, i nikną jedne po drugich, nagle, jęcząc, jak gdyby strony pękały. Trąba tylko brzmi jeszcze, ale coraz słabiéj; jeżeli wzmoże się niekiedy, to na to aby się tem ciszéj odezwała; w końcu ucichła całkiem. Taka była mniéj więcéj muzyka którą ułożyłem dla Goralów, wiecznie pod myślą, aby każdą okolicę Polski wiązać z ogółem, wszystkiemi włóknami jéj ducha; wiecznie w przekonaniu że jéj dzieci tem szczerzéj i mocniéj kochać się zaczną, tem ściśléj złączą się, im lepiéj się zrozumieją; a zaczną zaś lepiéj się rozumieć w miarę tego, jak zaczną lepiéj pojmować wzajemny swój język, który nie w samych tylko wyrazach leży, ale najważniejszą może częścią w uczuciach i w języku uczuć bezpośrednim. Wykonanie tylko miało niezwalczone trudności. W układ dzieła wchodziły różnorodne tony. Chcąc je wykonać jak należało, wypadało złożyć orkiestrę, co było niepodobne i ograniczyłem się przeto jednym instrumentem i wybrałem skrzypce. Z niemałą pracą dokazałem jednak, że naśladowanie tonów, obcych skrzypcom dosyć je dobrze oddawały. Poświęciwszy niemało tygodni samotnemu ćwiczeniu się w wykonaniu, przyszedłem nakoniec do pewnéj biegłości i przeznaczyłem dzisiejszy właśnie wieczór na mój koncert. Chwila była prześliczna; słuchacze weseli, rozegrzani uciechą, dobrze usposobieni. Zażądałem cichości, otrzymałem ją łatwo; Gorale lubili moje granie. Zacząłem nie bez wewnętrznéj obawy. Dla czego? wszak nie pierwszy raz im grałem? wszak miałem słuchaczy nieukształconych, których nagana i pochwała powinny były, zdaje się być mi obojętne? Drżałem jednak wewnętrznym dreszczem. Byłże to dreszcz artysty rozmiłowanego w swojém dziele i lękającego się o jego powodzenie? Byłoż to coś bardziéj tajemniczego, nieodgadnionego, dreszcz przeczucia? Téj zagadki nie mogłem sobie na razie rozwikłać, nie mogłem równie otrząść się z niepokoju, a chciałem; wstyd mi było mojéj słabości. Przez tę walkę znalazłem się w dziwnym stanie wewnętrznym; w stanie jakiéjś gorączki, zapomnienia się, które mi posłużyło nad moje spodziewanie. Siły ciał, energia woli rozumnéj, upadły wprawdzie, ale natomiast powstało coś wewnątrz mocniejszego jak wszystko co dotąd w sobie znałem, rozpłynęło się po całem ciele, owładło tak całą moją istotę, że zamieniłem się w jego machinę. Natchnienie to rozciągnęło się daléj, wylało się na zewnątrz, wpłynęło w smyczek, w struny, w drzewo instrumentu; tak objęło jednym duchem, jednem życiem niezwyczajném i mnie i skrzypce, że zdało mi się jakbyśmy jedno ciało stanowili, jeden instrument w rękach artysty niewidzialnego, niepojętego, mimo to wszechmocnego. Uderzyłem smyczkiem bez wiedzy.

Z pierwszym dzwiękiem wzrosła moja odwaga, ale coraz bardziéj traciłem przytomność; nakoniec zupełnie wyszedłem z siebie. Jak grałem? nie wiem. Musiało być jednak w mojéj grze coś nadzwyczajnego. Miarkuję to po wrażeniu jakie sprawiłem na słuchaczach, a które spostrzegłem dopiero, zakończywszy granie. Siedzieli nieruchomi. Oczy wszystkich tkwiły na mojéj twarzy. Oblicza jednych osłupiały podziwem, inne znowu mieniły się grą wewnętrznych wzruszeń. Kiedy przestałem, spojrzeli po sobie i zdawało się, że prowadzili rozmowę oczami, że oczami udzielali sobie wzajemnego podziwienia.

»To to muzyka« — szeptali jakiś czas pomiędzy sobą.

»Do goralskiego serca! prawdziwie goralska!« — zawołał jeden na głos.

»To nie goralska! nie!« — odpowiedział inny.

»Ba! nie goralska! a ja wam powiadam, że ją gdzieś słyszałem;« — odezwał się Juzek, muzyk z rzemiosła, i dla tego może najwięcéj zachwycony graniem i milczący dotąd.

Juhasy zaśmieli się. »Słyszałeś, a nie grałeś nigdy, choć ty nie chowasz dla siebie swoich piosnek.«

»Nie wygram, to prawda, ale słyszałem i nieraz.«

»No, no! nie udawaj mędrotę! już ty to wszystko widzisz i słyszysz, czego ludzie nie znają.«

»Juzek dobrze mówi« — przerwał inny Juhas; — »bo ja także słyszałem tę pieśń.«

»I ja ją znam.« — »I ja.« — »I ja« — odezwało się kilka głosów.

»A gdzie?« — zapytał jeden z niedowiarków.

»Gdzie?« — odpowiedział Juzek — »tego nie wiem; ale przysięgnę, że ją słyszałem. Kiedy Stach grał, to mnie było, jakby ją ciągnął z mojego serca.«

»A to prosimy zagrac. My gotowi drugi raz posłuchać.«

»Ba! żebym potrafił, to byłbym wnet bardzo bogaty.«

»A cóżby ci z tego przyszło?«

»Poszedłbym do jamy pod Gewont, gdzie ten stary duch, co to wiecie, siedzi na wielkiéj kupie złota. Jakbym jemu zagrał, to choćby najtwardszy djabeł, musiałby się pokazać i dać swoich pieniędzy. Już co takiem graniem, to pewniebym go zaklął.«

»Juzek dobrze mówi. Nie tak głupi jak się zdaje, szkoda że nie taki mądry jak potrzeba. Wielka szkoda że nie umie grać jak Stach a byłby czarnoksiężnikiem.«

»A toć się można nauczyć. Żebym tylko jeszcze raz posłyszał. Stachu, zacznijcie — no jeszcze raz.«

»Proście pierwéj niech skończy,« — zawołał ktoś z boku.

Na ten głos nieznajomy, zwróciliśmy wszystkie oczy w stronę skąd się odezwał, i ujrzeliśmy w rzeczy saméj obcego człowieka. Nikt go nie widział kiedy i jak przyszedł, a siedział jednak nie opodal od ogniska. Juhasy spojrzeli po sobie milczkiem, a w ich milczących obliczach przebijały się zdumienie, bojaźń i uszanowanie. Ja również nie mało byłem zdumiony. Przyczyna jednak mojego zdumienia nie było nagłe przybycie nieznajomego; ale naprzód jego osoba. Ubrany był po goralsku, przez plecy wisiała długa strzelba, w ręku miał wałaszkę, za pasem parę pistoletów. Kolosalna budowa ciała, ogromne barki, dłonie z palcami którym podobnie grubych nie widziałem, szyja téj niemal objętości co głowa, wydęte przestronne piersi, wyzierające bujnym zarostem, z pod rozkrytéj koszuli, zapowiadały olbrzymią siłę. Odpowiedną jéj energią tchnęło całe oblicze; było ono przytém doskonałéj, męzkiéj piękności, poważne, nadzwyczaj spokojne i szlachetne wyrazem jakiéjś duchowéj szlachetności. Oczy pełne, ciemno-niebieskie błyszczały jak gwiazdy, zdawało się że opromieniały twarz i czoło. Długie ciemne włosy, rozpuszczone obyczajem goralskim, podobnież wąsy i broda kędzierzawione, osłaniając większą część twarzy, robiły jeszcze dobitniejszym wyraz jéj w częściach odsłanianych. Głos jego tak był czysty, i silny, pełny i wdzięczny, przenikający i miły, w takiéj harmonii z budową ciała, że z tego głosu można było odgadnąć całą prawie postać. Podobny widok musiał zrobić wrażenie: ale najmocniéj zastanowiło mię jego zdanie o mojéj muzyce. Odpowiedziałem jakem był powinien, że pieśń była całkowita i wygrana do końca.

»Nie! wy nie graliście całéj.« — A potwierdził to głosem tak pewnym, że zachwiał prawie mojem własném przekonaniem. Przynajmniéj widziałem, że mogłoby się to zanieść na spór trudny i zabawny; dla tego postanowiłem ustąpić i rzekłem z uśmiechem: »Szanowny ojcze, wy to zapewne lepiéj wiecie; ale ja, nie umiem więcéj.«

»Kiedy tak« — odpowiedział nieznajomy, — »to ja za was skończę. Dajcie mi wasze skrzypce.«

Machinalnie posłuszny żądaniu, które na rozkaz zakrawało, podałem skrzypce nieznajomemu. Pociągnął smyczkiem, dał kilka tonów, podstroił, a z téj pierwszéj próbki poznałem, że nie był to zwyczajny wiejski skrzypek. Przyłożył drugi raz smyczek, przeleciał wszystkie struny, przez wszystkie tony jednym pociągiem, jakby w przegrawce; podziwienie moje wzrosło; posłyszałem granie jakiego nigdy nie słyszałem. — »To mistrz!« wyrzekłem w zapomnieniu się głośno, i zdawało mi się że za mało powiedziałem. Lubo o podobnéj biegłości nie miałem wyobrażenia, niczem ona jednak była obok tego czucia, téj duszy, jaką wlał w instrument. Skrzypce moje jak oczarowane, ozwały się głosem jakiego nigdy nie miały, jakiego w żadnych skrzypcach nieznałem; zdawało mi się że zaśpiewały a śpiewając przemówiły. Przez chwilę pauza. Wlepiłem oczy w nieznajomego. Żadnéj w nim zmiany, żadnéj oznaki zewnętrznéj, nadzwyczajnego wewnętrznego wzruszenia, ten sam wyraz co przed chwilą, tylko oczy patrzały w księżyc. Naraz skrzypce jakby westchnęły z cicha, i powlokło się długie, równie ciche jęczenie, jak ciche nieskończone echo westchnienia. Zdawało się że melodya promieni księżycowych, spływając przez oczy do serca muzyka, grała z jego głębi w echu skrzypców i wciąż cicho, boleśnie, ponuro, pogrzebowo; kiedy niekiedy, w wymierzonych zwrotach, dziki wtór zaszedł się łkaniem lub brzękiem jakoby żelaza, a czasem bardzo rzadko chrypliwem wrzaśnięciem trąby. Pieśń pogrzebowa konała kilka razy i kilka razy podnosiła się, w końcu ucichła. Nieznajomy zawiesił smyczek nad strunami i przemówił: Słuchacie grania, ale czy rozumiecie? . . . . I wrócił znowu do pieśni pogrzebowéj. Wszakże nie był to już ten akord niski, głuchy, ponury, przewlekły, podgrobowy co wprzódy; postąpił o jedną oktawę wyżéj, jęczał jeszcze, ale w tym jęku widać już było więcéj życia, coraz

więcéj, ruch tonów był szybszy; stopniami wchodziła do nich rozmaitość, coraz widoczniejsza, coraz tłumniejsza; przystępowały znowu jedne po drugich, kobza, torban, róg leśny; dzwięk gęśli odezwał się z początku w oddaleniu, następnie wracał coraz częściéj i wybitniéj; owładał nakoniec pierwsze miejsce; wszystkie inne tony na wtór się zamieniły; a pieśń w najdoskonalszéj harmonii płynęła czarodziejską melodyą miłości, podnosiła głos, podwajała siłę, i takt po takcie urosła w bicie kotłów, grzmot trąby, w muzykę męskiéj energii. Naraz zawrzała całym pozornym nieładem walki wszystkich tonów, całą jego dzikością, zawsze pod kierunkiem gęślowego pierwiastku. Tak wrzała chwilę, wzmagała się, słabła, znowu się wzmagała silniéj, silniéj, aż podniosła dzwięk trąby nad wszystkie dzwięki, który jakby dał hasło do ozwania się wszystkich narzędzi jedną powszechną pieśnią tryumfalnéj radości, a cała muzyka zlała się w uroczysty, pobożny akord organów. Skończył nieznajomy, oddał mi skrzypce z tą samą spokojnością, którą przez cały czas zachowywał, podniósł się, przewiesił strzelbę przez plecy, wziął w rękę swoją wałaszkę, powiódł po słuchaczach pogodnem uroczystem wejrzeniem, zwrócił się ku mnie i powiedział tylko: »Bądź jutro rano przy źródle białego Dunajca;« a innym: »Bóg z wami!« i odszedł.

Prelekcye w Poznaniu.

Kurs Estetyki Dr. Libelta.

(Ciąg dalszy.)

Po takim wstępie i wykładzie przystąpił Dr. Libelt do saméj estetyki złożonéj w sztukach pięknych, a do architektury w szczególności. Zamierzył sobie wprawdzie wyłożyć przynajmniéj sztuki plastyczne, t. j. architekturę, snycerstwo i malarstwo, atoli czas zbyt krótki nie dozwolił mu nawet wyłożyć architektury w zupełności, bo o architekturze rzymskiéj i gotyckiéj bardzo słuchaczów swoich zbył krótko. Dzieje się to samo powszechnie i po uniwersytetach. Zrazu docenci obszernie i szeroko rozprawiają, robią sobie rozkład na zakres wielkiego dzieła. Sam wstęp zabiera połowę półrocza, i dopiero się wtenczas obaczą, gdy już druga połowa ku końcowi się zmyka, a tu dopiero ledwo dziesiąta część z przedmiotu wyłożona. Ku ostatkowi więc z postałych dziewięć dziesiątych części kursu, szkic tylko słuchaczom swoim podają. Ma to swoje wielkie niedogodności dla tych, którzy chodzą na kursa, bez dołożenia się domową pracą, nie osiągną bowiem nigdy całości, i z wszystkiego same im się tylko zostaną początki. Atoli kursa nie mają też na celu być szkołą dla słuchacza, aby się tam tyle tylko nauczył, ile słyszał; lecz i owszem mają dać jedynie skazówkę, kierunek własnemu, samodzielnemu wykształceniu się. Professor więc prowadzi słuchacza swojego do umiejętności, niby obcego przychodnia do miasta opasanego murem, oprowadza go w okół, aby poznał dokładnie położenie samego miejsca, wskazuje mu bramy, któremi do miasta się wchodzi, podaje sposoby orientowania się, nareszcie plan cały rozwija, i dopiero wprowadza go na pierwsze ulice, których nigdy nie widział, obeznawa go z pojedyńczemi budynkami dokładnie, z ludźmi, handlem, obyczajami, sposobem życia, a potem puszcza go samego, mówiąc mu: teraz idź, i sam się orientuj, bo rozległość miasta iest wielka, a mnie inni czekają przechodnie.

Czyli taki sam cel mają mieć kursa Poznańskie, gdzie nie ma młodzi uniwersyteckiéj, lecz jest publiczność mięszana, z samych diletantów złożona, — trudnoby chcieć utrzymywać. Słuchacze przychodzą na kursa, jak na teatr, i nie kontentują się jednym lub dwoma aktami ze sztuki pięcioaktowéj. Chcą całości; kursu zupełnego. Jakżeż więc pogodzić czas krótki ze sztuką długą? możnaż było w 20 godzinach na pięć miesięcy rozłożonych, wyłożyć estetykę w zupełności? Każdy widzi niepodobieństwo. Możnaby zatém tylko słuchaczom dać szkic umiejętności. Wszakże nie radziłbym panom czytającym wdawać się w same szkice.

Szkic to szkielet, a takim kościotrupem wystraszyliby słuchaczów swoich. Nie pomoże tu nic sztuka. Choćbyś ten szkielet najpiękniejszym okrył słów bławatem, zawsze przezeń kości sterczeć będą, i kto tylko zań pochwyci, pochwyci kość twardą, nie ciało miękkie. Słuchacz chce koniecznie szczegółów nie ogólników. Trzeba przed nim rozlać massami zdrój umiejętności, aby w nim skąpał ducha swojego; trzeba roztoczyć od drzew aż do trawki ogród umiejętności, aby się w nim swobodnie mógł przechadzać. On chce ją widzieć w obrazie nie w miniaturze, i dla tego wykład professora kursu publicznego powinien być jak szkło powiększające, nie zaś jako szkło malejące przedmioty.

Czuł snać dobrze tę prawdę wykładający kurs Estetyki, że nie rachował się z czasem, ale ile się tylko dalo rozszczególniał przedmiot swój, roztaczał w obszerniejszych rysach, rozwijał pąkowia na kwiaty, bo tym tylko sposobem mógł obudzić interes, i utrzymać uwagę słuchaczów. Aby jednak

pogodzić i potrzebę obszerniejszego rozbioru rzeczy i wymagalność by kurs jéj całość przedstawiał; mając przytém na uwadze, że trudnoby u nas więcéj nad dwie godzin na tydzień dla kursu przeznaczyć, należałoby panom docentom, nie rzucać się na obszerne nauki, ale wybierać z nich pojedyńcze części i ustępy na wzór kolegiów bezpłatnych po uniwersytetach.

Wracamy do kursu architektury. — Myśl człowieka twórcza, organiczna występuje na zewnątrz i wciela się w materyał, to jest wyrabia go na kształt sobie odpowiedni. Przed tą myślą stoi rozwartą cała natura; leżą obszerne przestrzenie ziem i kamieni, pokłady skał, marmurów i kruszczów, cedry na Libanie, i twardy heban na Kordyllerach, bielące się rozrzucone kości zwierząt, i przezrocze gór kryształy; zgoła wszystko co jest materyałem twardym, widzialnym i namacalnym.

Myśl twórcza ludzka nadając sobie byt w materyale surowym, grubym, zostającym dla tego pod tak silnym wpływem praw materyalności, do nich się zastósować będzie musiała, i nim go zwalczy, i do najwyższéj harmonii formy i treści owładnie, stopniami tylko rozwijać się będzie mogła.

Ale i przy tworzeniu tworów natury myśl twórcza boska wywoławszy świat rzeczywisty do bytu, wcieliła się weń, i we wszystkich tworach przyrodzonych musi dla tego być w harmonii, jedność myśli twórczéj i materyału.

Wypada ztąd, że ponieważ myśl twórcza ludzka jest na podobieństwo myśli Twórczéj boskiéj, która wywołała świat do bytu, że rozwój myśli architektonicznéj w kolei wieków, będzie przechodził te same stopnie, jakie w tworach natury od razu przedstawia jedność myśli i materyi.

W naturze widzimy najprzód twory, gdzie owa jedność w takiém jest połączeniu z materyą, iż w materyalności zupełnie zatonęła. Każda cząstka materyi, by najmniejsza jest przeniknięta tą samą myślą, to jest ma te same i wszystkie, co całość, własności. Takiémi są wszystkie twory nieorganicznémi zwane, np. kawał złota. Jest to przeniknienie się materyału sobą samym, jest zupełna jednoistość, jednostajność, jednakowość. Rozbierz i rozdziel ten kawał złota na miliony kawałków, a każdy będzie złotem, z wszystkiemi przymiotami tego kruszczu.

W architekturze są tego rodzaju te wszystkie budowy, którym braknie wydrążenia, które środkiem są wypełnione. Architektura nie dopina tu jeszcze celu swojego, zostać obsłoną myśli lub ducha; ale materyał dopiero zewnętrznie obrabia, według najprostszych prostolinijnych rozmiarów; albo też bierze materyał, jak go znajduje, i tylko przywięzuje myśl do niego. Tego gatunku architektoniczne dzieła są kamienie wielkie, które ręka ludzka w pewne miejsca zatacza, i robi z nich pamiątki dla ludzi i dla wypadków. I jest myśl w kamieniu, która istotnie wiąże się z myślą śmierci i żalu. Twardość głazu jest symbolem twardéj i nieubłaganéj śmierci, łza najgorętsza nie rozgrzeje go, ani go wskroś zrosi, ale potoczy się i spadnie na ziemię, albo powierzchnię zwilży, którą wiatr pierwszy wysuszy. Rażące zimno głazu jest jak zimno grobu, z którego równie rażący chłód duszę ogarnia. Pospolitość kamienia jest znamieniem, jako śmierć wszystkich wyrównywa, w pospolity proch i ziemię obraca. Ciężar kamienia jest symbolem ciężkiego żalu po zmarłym. Myśl ta tak silnie do tego rodzaju pomników jest przywiązana, że zginie cała wartość pomnika, i na ironię się zamieni, gdybyś zamiast ciężkiego i obszernego głazu, kamyszek komu na grobowcu położył. Nareszcie trwałość i niezmienność materyału jest symbolem niezmienności losów śmierci. Już umarły nigdy w pośród żyjących nie powróci, nie wskrzesisz go siłą ducha twojego, jak siłą ręki twojéj, tego kamienia z grobowca nie odwalisz.

Do tego rodzaju pomników architektury należą jeszcze mogiły sławiańskie. Sami tylko Sławianie jako lud rólniczy, który znał całą wartość ziemi, co go żywiła, oni sami tylko z tego najdroższego materyału ojczystego, z téj skiby ziemi rodzinnéj, co im zawsze była tak droga, budowali pomniki wielkim mężom swoim, i wysoko usypanemi mogiłami uwieczniali ich pamiątki. Jaka myśl piękna, aby ta sama ziemia złożona była na pomnik temu, co walcząc za jéj wolność, krwią ją i życiem swojém okupił, który ją dziełami ozdobił, przywrócił jéj granice; — aby nie sztukmistrz jeden i robotnik nic nie wiedzący, ale lud liczny składał bohaterowi swemu pomnik, a nie składał darem jakim martwym, ale pracą rąk, i myślą i czuciem do téj pracy przywiązaném. Jaka myśl piękna, aby ta ziemia, co wielkich ludzi wydała, niejako z wnętrza swego, z wnętrzności swoich, wzniosła im pomniki i dźwigała je póty póki téj ziemi starczy. Bo nie pożyta jest trwałość takich pomników, tysiące lat przetrwać mogą, aż albo rewolucya jaka żywiołów je zburzy, albo dzicz jaka najezdna, nienawistna narodowym pamiątkom, świętokradzką rękę na narodowe świętości położy. Ale co tysiące ludu budowało, co naród, co ziemia sama swemu mężowi stawiała, to jest tak święte, że zda się iż je i nieme żywioły i barbarzyństwo wroga szanuje. Znane są koło Krakowa trzy mogiły Wandy, Krakusa i Kościuszki, o których pięknie powiada

Jełowicki we wspomnianiach swoich, że jak oko opatrzności patrzą na Polskę.

Tak się zatém myśl ludu łączy do głazu prostego, do prostéj kupy ziemi. W mogiłach już jednak jest budowa wyższego rzędu, niżeli proste kamienie, dla tego, że już ręką ludzką sporządzona. Najwyższy stopień tego gatunku budowli jednoistych, wypełnionych, jest w głazach obciosanych na prostolinijne zarysy, np. kamień w czworogran ociosany, albo obelisk ze skały wykuty, albo kolumna z kruszczu ulana, albo słup z drzewa obrobiony. Myśl i tu jeszcze nie wryła się wskroś materyału, nie stała się przestrzenną, ale już go owładła zewnętrznie, i na tych zewnętrznych kształtach zawiesiła się, niby ptak, który przysiada na gałęzi.

Wszystkie te wzwyż przytoczone budowy, lubo dopiero są zaczątkiem architektury, służyły już, jak i następne na cześć Bóstwu oddawaną. Mówca wspominał na dawód, o kamieniach, na których odbywały się całopalenia, o Sobótkach słowiańskich, i o kolumnach czci Lingama poświęconych.

We wszystkich tych gatunkach budowy, jest zatém zatonienie myśli w materyale, w każdéj cząstce jednostajność, tożsamość, podobnie jak w tworach natury, gdzie się idea tylko do jednostajności, do tego nierozerwanego ożenku materyału i treści wyrobiła.

(Dokończenie nastąpi.)

MODY.—Paryż, dnia 20. Kwietnia 1842.— Niezliczona jest rozmaitość tkanin wiosennych i należałoby widzieć na tę piękną porę roku prygotowane lekkie ubiory, aby mieć wyobrażenie, na jakim szczycie stoi teraz przemysłowość we Francyi.

Na pewném zebraniu muzykalném ukazały się suknie powiększéj części wysoko zachodzące, szlafroczki z wodnistéj mory i tak zwane kardynalskie peleryny z jasnego jedwabiu, orzucone koronkami i fręzlą. Szale długie stanowiły większość.

Najnowsze kapełusze odznaczają się obwodem w górę nieco podniesionym i maleńką główką. Ozdobione są na wierzchu piórami i kokardami wstążek, pod obwodem kwiatami. Kapotki mają piękne girlandy kwiatów, tam gdzie obwód z głową się schodzi. W ogólności różnią się kapotki od kapeluszy wystrojem, te mają bowiem na obwodzie kwiaty, pod spodem wstążki, które łączą się z lokami angielskiemi.

Najnowsze rękawiczki są w rozmaitych kolorach, pomarańcz, aprykoz i ananasów, z fręzlami i sznurami. Są także rękawiczki bez palcy z aksamitu w kolorze czarnym lub granatowym, orzucone koronkami. Noszą je do rękawów prababek.

Upodobanie w kryspinach z każdym dniem wzrasta i jak sądzą, utrzyma się przez całe lato.

Suknie w tym roku będą o sutych fałdach, rozdielonych pasami koronkowemi. Rękawy zaś w bufki układane, podobnemi pasami rozdzielone. Tegoż rodzaju pokażą się i szlafroczki. Młode osoby będą nosić przepaski z lśniącego taftu lub szkockie, powiewne, z długiemi końcami. Po wsiach upowszechnią się niezawodnie maleńkie fartuszki z szkockiego, niebieskiego lub zielonego taftu.

Czepki w tym roku zachodzić będą krócéj na lica, aniżeli w upłynionym. Spodem zaś wianeczki kwiatów gubić się będą aż w lokach angielskich.

Polecamy kardynalskie peleryny, robione z floransu czarnego, cytrynowego, niebieskiego lub różowego, powleczone zawsze czarną lub białą koronką.

Przechadzki w Longchamps w tym roku ograniczyły się bardzo i nic tam z nowszych mód nie ujrzano, oprócz kilku ukazanych jak na próbkę.

Podobają się nadzwyczajnie pelerynowe długie szale, z kaszemiru i pasamonami zdobne, lub z jedwabiu i koronkami wystrojone. Toż samo powiedzieć można o pelerynych kryspinowych, które jakkolwiek w zimie już znane, teraz na nowo z modnych ukazują się wyrobione tkanin.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapotka piórami i wstążkami zdobna. Szlafroczek z tkaniny wełnianéj, osuty posamonami. Stanik otacza peleryna.
2. Najnowszy czepek koronkowy. Szlafroczek kaszemirowy. Stanik i przód powłoku zdobią pasy aksamitne, pasamony i duże guziki.
3. Kapelusz zmarszczany, zdobny piórami. Szlafroczek jedwabny, aż do dołu tą samą wystrojony tkaniną. Stanik gładki, rękawy półobszerne. Peleryna batystowa, z francuzkim haftem.
4. Czepek z haftowanego tulu. Suknia z mieniącéj tkaniny. Stanik bluzowy.
5. Strój głowy z jedwabnego tulu i kwiatów. Suknia pekinowa, stanik gładki, rękawy obcisłe i zdobne koronką en guipure.

Redaktor: *N. Kamieński*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*

